

Beth Hart
Bang Bang Boom Boom

Mascot Music 2012

Muzyka: ●●●●○
Realizacja: ●●●●○

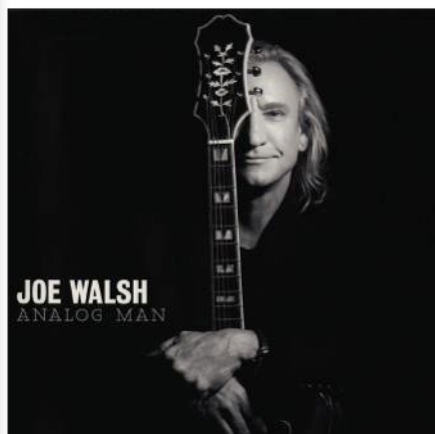
Beth Hart grała rok temu w warszawskiej „Progresji”. Koncert był udany. Dominowały jej własne hity, z „Californią” na czele, choć nie zabrakło też rockowych standardów, jak „Whole Lotta Love” Led Zeppelin.

Artystka bywa porównywana do największych muzycznych sław, w tym do Janis Joplin. Trochę na wyrost, ale nie bez powodu powierzono jej główną rolę w poświęconym Joplin musicalu. Zwykle repertuar Beth Hart to utwory rockowe okraszone soulem i rhythm and bluesem. Na nowej płycie jest więcej spokojniejszych, nastrojowych ballad.

Pierwsze nagranie – „Baddest Blues” w rytmie na trzy – rozwija się powoli, choć z każdym taktem przybywa aranżacyjnych i wokalnych atrakcji. Drugi utwór – tytułowy – też nie ma rockowej energii. Blżej mu do kabaretu. Dopiero w „Better Man” odzywa się rockowa nuta. Ale tylko na moment, bo dalej znów dominują ballady (m.in. „Caught in the Rain”), a w „Swing My Thing Back Around” mamy nawet jazzową sekcję dętą. Czyli wyraźna zmiana. Piosenkarka złagodniała, chociaż jest jej z tym do twarzy. Zdecydowała się też na nieco frywolną okładkę, by podkreślić, że tym razem jest trochę inaczej.

Mnie nowa Hart się podoba. Zarówno ta komponująca, grająca i śpiewająca, jak i w roli modelki. Jeśli jednak ktoś polubił ją za repertuar w stylu „Whole Lotta Love”, może być zawiedziony. ■

Grzegorz Walenda



Joe Walsh
Analog Man

Fantasy Records 2012

Muzyka: ●●●●○
Realizacja: ●●●●○

Po dwudziestu latach od nagrania ostatniej autorskiej płyty („Songs For A Dying Planet”) Joe Walsh postanowił przypomnieć się światu. Trzeba przyznać, że zrobił to w dobrym stylu. Ten gitarzysta, wokalista, kompozytor i autor tekstów działa na scenie od 1969. Największą popularność zyskał w latach 70. jako członek The Eagles.

Tytuł albumu zawiera czytelny komunikat skierowany do zagorzałych fanów Walsha: „Jestem wciąż w starej, dobrej, analogowej bajce; świat się ucyfryzował, ale ja ani moja muzyka – nie”.

W piosenkach Walsha próżno szukać jakiejś szczególnej filozofii – jego melodie, teksty i interpretacje są proste, szczerze i płyną z serca. Album jest miłą mieszanką różnych odmian starego rocka, popu, country, bluesa i szczypty elektroniki („India”). Chyba głównym smaczkiem nagrań są brzmienia gitar lidera – stylowe, wyważone, eleganckie (m.in. „Analog Man”, „Funk 50”). Pozytywnie zaskakuje też jego bardzo dobrze utrzymany głos, który brzmi czysto i młodo, choć u weteranów rocka bywa z tym różnie.

Walsh jest artystą z epoki taśm i winyli, ale nie omieszkał skorzystać z doświadczeń cyfrowej rejestracji dźwięku. Jednak spece od masteringu zrobili wszystko, by album nabrał analogowej głębi. Sporo dobrej roboty wykonał muzyczny partner Walsha i współproducent płyty Jeff Lynne (z dawnego Electric Light Orchestra). ■

Bogdan Chmura



The Tallest Man On Earth
There's No Leaving Now

Dead Oceans 2012

Muzyka: ●●●●○
Realizacja: ●●●●○

The Tallest Man on Earth to artystyczny pseudonim szwedzkiego wokalisty i gitarzysty Kristiana Matssona. Podpisał się nim na trzech swoich płytach, w tym na ostatniej – „There's No Leaving Now”.

Nowy materiał z pewnością zainteresuje fanów folkowo-rockowej muzyki, która odnosiła największe sukcesy na przełomie lat 60. i 70. ubiegłego wieku. Jeśli miałbym wskazać artystę, do którego twórczość, a jeszcze bardziej maniera wykonawcza Matssona jest najbardziej zbliżona, to najszybciej przychodzi mi na myśl Jim Croce (pamiętany zwłaszcza za „muppetowy” przebój „Time in a Bottle”).

Najwyższy człowiek na świecie śpiewa własne kompozycje, akompaniując sobie na gitarze akustycznej. Utwory rejestruje na domowym sprzęcie, więc nie błyszczą audiofilską realizacją. Ale to nie przeszkadza w ich odbiorze. Słuchając nowej płyty można się zadumać, a „Bright Lanterns” to nagranie wyjątkowe. Należy do takich, do których chętnie będzie się wracać. Jak do „Sounds of Silence” Simona i Garfunkela czy „She Loves the Jerk” Johna Hiatta. Kompozycje szwedzkiego muzyka chyba nie uzyskają aż takiej popularności jak wymienione hity jego słynnych kolegów, ale nabywcy „There's No Leaving Now” nie będą tym albumem zawiedzeni. ■

Grzegorz Walenda



Steve Harris British Lion

EMI 2012

Muzyka: ●●●○○
Realizacja: ●●●○○

Zabawne, że pierwsza solowa płyta basisty i lidera Iron Maiden jest mniej „solowa” niż niektóre krążki jego rodzimej formacji. W przeciwieństwie do płyt Maiden, nie ma tu ani jednej piosenki, którą Harris napisałby sam. Większość powstała w ramach jego współpracy z wokalistą Richardem Taylorem oraz gitarzystą Davidem Hawkinsem.

Nie wiem, czy panowie świadomie postanowili oddać hołd brytyjskiemu hard rockowi lat 70.? Być może muzyka, którą nagrali spontanicznie, podryfowała w kierunku twórczości zespołów, których Harris słuchał jako nastolatek. W każdym razie, w 10 piosenkach z „British Lion” niewątpliwie da się usłyszeć wpływy UFO, The Who, Thin Lizzy, a nawet wczesny Whitesnake... Można by jeszcze długo wymieniać.

Trzeba jednak powiedzieć, że „British Lion” nie jest wybitnym rockowym albumem, a piosenki, które go tworzą, raczej nie dorównują twórczości wyżej wymienionych kapel. Niemniej to, że powstał z tęsknoty za dawną stylistyką, dodaje mu nieco uroku. Harrisowi należą się też wyrazy uznania za to, że po kilku dekadach rozwijania stylu Iron Maiden postanowił spróbować czegoś zgoła innego. Momentami nawet łagodzi charakterystyczne metaliczne brzmienie swojej gitary basowej! Ale tylko momentami. Już po trzech pierwszych sekundach płyty nie ma wątpliwości, kto szarpie za struny. ■

Bartosz Szurik



Turboweekend Fault Lines

EMI 2012

Muzyka: ●●●●○
Realizacja: ●●●○○

Formacja Turboweekend jest w Polsce znana dzięki granemu przez stacje radiowe utworowi „Trouble Is”. Jej najnowsza płyta – „Fault Lines” – udowadnia, że z twórczością Duńczyków warto zapoznać się dokładniej.

Kwartet z pewnością nie jest pierwszym rockowym zespołem, który gra w składzie bez gitary. Niemniej, nie można powiedzieć, że ktoś, kto decyduje się na tak nietypowe rozwiązanie, idzie na łatwiznę czy nie szuka swojego brzmienia.

Pomysłem Turboweekend jest budowanie utworów na gitarze basowej i syntezatorach analogowych. Piosenki nagrywane w takim oszczędnym i niewydumanym instrumentarium, wzbogacone melodyjnym, przyjemnym wokalem Silasa Bjerregaarda okazują się interesujące. Mogą się kojarzyć z muzyką New Romantic czy New Wave, zwłaszcza że czystemu, pozbawionemu gitary brzmieniu odpowiadają romantyczne teksty.

Główna różnica między muzyką Turboweekend a muzyką kapel z lat 80. przejawia się w tym, że na „Fault Lines” brakuje brzmienia perkusji, charakterystycznego dla tamtej epoki. Bębniarz Martin Øhlers Petersen czasami dodaje do kompozycji elektroniczne akcenty, ale trzyma się standardowego rockowego zestawu. Dzięki tej decyzji zespół nie lawiruje w stronę syntetycznego popu, pozostając w kręgu alternatywnej muzyki rockowej. W dodatku brzmi bardziej świeżo niż wielu jego rówieśników. ■

Bartosz Szurik



Muse The 2nd Law

Warner Music 2012

Muzyka: ●●●●●
Realizacja: ●●●●●

Najnowsza płyta Muse jest tak różnorodna, że zamiast jednej recenzji wymagałaby zrecenzowania każdej z tworzących ją piosenek.

Krażek zaczyna utwór z cięższymi gitarami, orkiestracjami i marszowymi werblami, jakby rodem ze ścieżki dźwiękowej filmu o przygodach Jamesa Bonda (czyżby trio konkurowało z Adele o angaż do „Skyfall”?). Singlowy „Madness” to zwrot o 180 stopni. Elektroniczny, kameralny i balladowy utwór prezentuje zupełnie inne wcielenie formacji. „Panic Station”, dająca energetycznego kopa piosenka, to kolejna zmiana: tym razem opiera się ona na silnym groove wprost z muzyki funky. Dalej muzyczny roller coaster przejeżdża jeszcze między innymi przez rejony rock-operowe („Survival”) i dubstepowe („The 2nd Law: Unsustainable”), by zakończyć trasę spokojniejszym elektronicznym akcentem („The 2nd Law: Isolated System”).

Trio Matta Bellamy raz epatuje produkcyjnym rozmachem, raz urzeka minimalizmem. Potrafi uderzyć przesterowanymi gitarami lub zwolnić w trakcie ballad. Miesza elektroniczne sample oraz instrumenty rockowe z orkiestrowymi brzmieniami. Czerpie z różnych inspiracji – na „The 2nd Law” słyhać zwłaszcza echa Queen – ale w jakiś tajemniczy sposób, w każdym ze swoich wcielenń Muse pozostaje sobą. Jedną z najoryginalniejszych i najzdolniejszych współczesnych grup muzycznych. ■

Bartosz Szurik